

przeniesiono go na równorzędne stanowisko służbowe do Chójnicy, a w r. 1936 powierzono mu kierowniczą funkcję obwodowego inspektora szkolnego w Nowym Mieście na Pomorzu. W r. 1938 w związku z likwidacją wielopowiatowych obwodów szkolnych otrzymał stanowisko inspektora szkolnego w Brodnicy, gdzie pracował do chwili wybuchu wojny.

Evakuowany z Brodnicy na Wołyń, przechodzi wraz z rodziną kilkumiesięczną poniewierkę, dopóki nie osiadł na kilkumiesięczny pobyt w Horohoryniu, woj. wołyńskie, gdzie podjął pracę w zawodzie nauczycielskim w miejscowej szkole powszechnej. W końcu osiedla się w Warszawie. Ziarno nie pozostał tu bezczynny. Przyjmuje pracę w Warszawskiej Delegaturze Rady Głównej Opiekuńczej i prowadzi tam referat opieki nad dzieckiem. Równocześnie pracuje w podziemnej organizacji wojskowej, a w r. 1942 przenosi się do pracy w tajnej oświacie. Z wiosną r. 1942 zaangażowano go do pracy w Departamencie Oświaty i Kultury, gdzie pełnił funkcje pomocnicze w pracach organizacyjnych, a w czerwcu tegoż roku wysłano go do Okręgowego Biura Szkolnego do Krakowa, na stanowisko referenta organizacyjnego.

Działalność K. Ziarna na odcinku organizowania tajnego nauczania w Okręgu Krakowskim stanowi piękną kartę w jego życiu. Był jednym z najbliższych współpracowników kierownika Biura Jana Smoleńca, który darzył go nieograniczonym zaufaniem i jako pracownika terenowego niezwykle cenił. Bo też Ziarno w niemalym stopniu przyczynił się do zorganizowania sieci Powiatowych Komisji Oświaty i Kultury w Okręgu. Pod kryptonimem „Sikora” jeździł prawie po całym terenie Okręgu Krakowskiego, tj. od Miechowa aż po Przemyśl i Brzozów. Miał pod swoją bezpośrednią opieką przeważnie powiaty odleglejsze od Krakowa, jak Gorlice, Jasło, Krosno, Sanok, Brzozów, Nisko czy Tarnobrzeg, a poza tym Smoleń wysyłał go też do specjalnie trudnych powiatów. Ziarno zawsze wywiązywał się z powierzonego mu zadania bez zarzutu. Wśród wielkich niebezpieczeństw wędrował od powiatu do powiatu, wyszukiwał aktywniejsze jednostki ze świata nauczycielskiego, zespalał w ciałach zbiorowe i składał do podejmowania prac organizacyjnych. Nie była to funkcja łatwa, zwłaszcza na terenie niektórych powiatów, gdzie terror hitlerowski specjalnie szalał. Zdarzało się nieraz, że trzeba było przewędrować często piezo cały powiat, by skontaktować się z upatrzonymi kandydatami na członków Powiatowej Komisji O. i K. Ziarno nie uchylał się od tego rodzaju trudów i niebezpieczeństw, podejmował je ofiarnie i nie spoczął, dopóki nie osiągnął zamierzonego celu. Wracał wtedy do Krakowa i z poważnym, a zarazem zadowolonym obliczem składał raport kierownikowi o swoich osiągnięciach. Jako referent organizacyjny,

spędzał większość czasu w terenie. Docierał do przewodniczących powiatowych Komisji O. i K. zawiązać instrukcje i wytyczne, zbierał całe ześpoły komisyjne i odbywał z nimi długie konferencje instruując je, zachęcając i pobudzając do żywszego działania. Wszystkimi niemiłymi pomocami w trudnościach, otuchę i wiarę w lepsze jutro. Nie obeszło się też i bez przykrych przygód. Okupant urządzał częste łapanki zwłaszcza po dworcach kolejowych, które dla wielu osób kończyły się tragiczną wysyłką do obozów koncentracyjnych. I Ziarno nie uniknął przytrzymania parogodzinnego w jednej z takich łapanek na dworcu kolejowym w Tarnowie. Tym razem skończyło się to dla niego tylko dotkliwym pobiciem przez oprawców hitlerowskich.

W drugiej połowie czerwca r. 1944 wyjechał na parę dni do swej rodziny, którą pozostawił w Brzostku, w powiecie jasielskim. Nieszczęsny los zdarzył, że w dwa dni po jego przyjeździe do Brzostku urządzili Niemcy krwawą pacyfikację tej wioski, w wyniku której zamordowano na miejscu 10 osób, a 46 wywieziono do obozów koncentracyjnych. Wśród ofiar znalazł się niestety i nasz ofiarny działacz oświatowy. Krwawy siepacz hitlerowski ranił go ciężko strzałem rewolwerowym, na skutek czego zmarł nazajutrz, tj. 22 czerwca r. 1944 w szpitalu w Jasle, dokąd go zaraz po ustaniu pacyfikacji przewieziono. Osierocił żonę i troje dzieci nieletnich i niezaopatrzonych.

Spółczesność polskie poniosła bolesną stratę. Zginął człowiek na wskroś uczciwy, niepospolitego serca, ofiarny w pracy aż do poświęcenia, nieprzeciętnie zdolny pracownik oświatowy. Wierze polska straciła wiernego swego syna, który myślą swą i swym postępowaniem zawsze jej służył.

Ignacy Jakubiec

ADAM ZIELEŃCZYK

(1830 — 1943)

Znajomość moja z Adamem Zielenoczykiem datuje się od r. 1927, kiedy, będąc długoletnim mieszkańcem Pragi Czeskiej, dostałem od niego list z propozycją udzielenia mu zezwolenia na przekład mych „Podstaw pedagogiki” na język polski. Odtąd zaczęliśmy korespondować regularnie, i korespondencja ta, dotycząca najpierw pożądaných skrótów i zmian, a także niektórych niejasnych miejsc mej książki, z czasem rozszerzyła się na ogólne zagadnienia filozoficzne i pedagogiczne. Pisaliśmy do siebie po rosyjsku, gdyż po polsku wówczas jeszcze nie umiałem. Pamiętam, jakie miłe wrażenie zrobił na mnie styl otrzymywanych przeze mnie listów: był to styl nie tylko poprawny, lecz elegancki, z swoistym, nieco staro-

świeckim odcieniem. Wiedziałem, że sprawa przekładu mej książki jest w dobrych rękach i byłem wdzięczny memu zaocznemu przyjacielowi za starania i trud temu poświęcony. Dużo skorzystałem z jego zawsze trafnych uwag przy opracowaniu skróconego tekstu mej książki. Marzyłem o osobistym z nim spotkaniu.

Sposobność do tego nadarzyła się dopiero w lipcu 1930 r. Dostałem zaproszenie na wykłady do Rygi i postanowiłem jechać tam nie przez Berlin i Kowno, lecz przez Warszawę, aby odwiedzić Zielenicyka, który mi pisał, że zostając w lipcu w Warszawie, rad będzie pokazać mi swoje miasto rodzinne. Pamiętam dobrze to nasze pierwsze spotkanie w mieszkaniu jego przy ul. Poznańskiej. Był sam, gdyż rodzina wyjechała na lato z Warszawy. Cały dzień spędziliśmy razem jakby na wagarach: długo chodziliśmy i odpoczywaliśmy na ławkach w Alejach Ujazdowskich, a potem w Łazienkach. Spotkaliśmy się jak dawni przyjaciele opowiadając sobie wzajemnie o latach swych studiów, o późniejszych przeżyciach i pracach, o planach na przyszłość. Dowiedziałem się, że Zielenicyk studiował w Heidelbergu w tych samych latach, co ja w sąsiednim Freiburgu, a jeden semestr byliśmy razem w Heidelbergu, słuchaliśmy tych samych wykładów i ulegaliśmy tym samym prądom myślowym. Zielenicyk opowiadał mi o swych pracach z historii filozofii polskiej i ofiarował mi odbitki swych studiów o polskim kantyźmie, o filozofii Hoene-Wrońskiego, a nawet egzemplarz dawniej wydanej książki „Drogi i bezdroża filozofii”. Na tych po mistrzowsku napisanych rozprawach i szkicach uczyłem się później filozoficznego języka polskiego, a jeszcze później nauczyłem się cenić elegancję i szlachetność jego stylu. Dopiero z rozprawy Zielenicyka zrozumiałem treść i znaczenie filozofii Hoene-Wrońskiego. Nie mogłem mieć lepszego wprowadzenia w dzieje polskiej myśli filozoficznej. Zielenicyk wtedy planował jeszcze napisać studia o Cieszkowskim, o K. Libelcie, którego bardzo lubił, o Dawidzie i innych filozofach polskich, aby później wydać zbiór „Z dziejów filozofii polskiej”. „Brak mi tylko czasu i siły — opowiadał — gdyż mam liczną rodzinę i muszę dużo zarabiać”. Był wtedy jeszcze urzędnikiem Ministerstwa Oświaty, a poza tym wykladał propedeutykę filozofii w Gimnazjum Batorego, był także docentem historii filozofii na Wolnej Wszechnicy Polskiej w Warszawie. Wykladał również każdego lata na wakacyjnych kursach Korespondencyjnego Instytutu Nauczycielskiego ZNP, gdzie był profesorem. Wykladał pedagogikę i filozofię. Przez tę długoletnią i wytrwałą pracę w Instytucie był mocno związany z nauczycielstwem polskim i z ZNP, którego był czynnym członkiem.

Dlaczego potrzebował tyle dla zarobku pracować, rozumiałem to w parę lat później, kiedy znowu przyjechałem do Warszawy będąc za-

proszony na wykłady przez WWP i Ligę Nowego Wychowania. Spędziłem wtedy w Warszawie dwa tygodnie i kilka razy odwiedziłem Zielenicyka. Poznałem wówczas całą jego rodzinę: żonę (siostrę jego kolegi i serdecznego przyjaciela, prof. J. Segala) i trzy córki, z których najstarsza, Jadwiga, już studiowała na uniwersytecie prawo, a średnia i młodsza, Maria i Wanda, uczyły się jeszcze w gimnazjum. Była to rodzina nie tylko wyjątkowo zgrana i kochająca się, lecz, co więcej, rodzina, w której rodzice poświęcali się całkowicie swym dzieciom. Córki uczęszczały do najlepszej szkoły w Warszawie, miały dodatkowe lekcje języków obcych i muzyki, letnie wakacje w dobrej miejscowości, wszystko, co potrzebne było do najlepszego wykształcenia. Pensja zaś urzędnicza była skromna i jeszcze skromniejsze było wynagrodzenie za wykłady w gimnazjum i na Wszechnicy. Nic dziwnego, że kiedy bliżej poznałem Zielenicyka, zrobił na mnie wrażenie człowieka bardzo zmęczonego, nieco już zgaszonego pod ciężarem obowiązków, które z miłości dla dzieci na siebie nałożył.

Przy tym nie było w nim żadnej błaży. Wszystko, za co się brał, wykonywał rzetelnie, sumiennie. Do swych wykładów i zajęć seminaryjnych, nawet lekcji w gimnazjum przygotowywał się skrupulatnie, nawet kiedy chodziło o tematy, które już nieraz powtarzał. Pierwszy raz słyszałem go, gdy streszczał mój wykład publiczny, który wygłosił r. 1932 jeszcze po rosyjsku. Wydał mi się świetnym mówcą i pierwsze to wrażenie potwierdziło się później, kiedy słyszałem jego odczyt w Kole Filozoficznym na Wszechnicy na temat niesprawdzalności sądów wartościujących do sądów o rzeczywistości. Odczyt ten cechowała przejrzystość budowy, jasność myśli i trafność słownego wyrażenia. Wiem, że wśród słuchaczy Wszechnicy był uważany za jednego z najlepszych profesorów; miał zresztą zawsze bardzo liczne audytorium.

Kiedy osiadłem na stałe w Warszawie (w r. 1936), często odwiedzałem rodzinę Zielenicyków. W tym okresie pan Adam już nie pracował w Ministerstwie. Nie odpowiadał on atmosferze, która zapanowała wówczas w urzędach. Zdążył jeszcze ze swych prac badawczych, przeprowadzanych w ramach obowiązków służbowych, wydrukować swą pracę o samorządzie uczniowskim w Polsce. Praca ta, zawierająca historię, opis prób najciekawszych i statystykę masowego stosowania samorządu uczniowskiego w Polsce, była wzorem monograficznego badania pedagogicznego. Aż dotąd nie utraciła swej wartości. Zdaje się, była jedyną większą pracą pedagogiczną Zielenicyka, jeżeli nie liczyć jego studium o Trentowskim (o charakterze bardziej filozoficznym niż pedagogicznym) i przekładów mych książek.

Chociaż pan Adam był bardzo zmartwiony swą dymisją, właściwie była ona dla niego wyzwoleniem. Nie pasował on do służby urzędniczej.

Na szczęście był to okres finansowego rozkwitu Wszechnicy, która po wybudowaniu własnego gmachu mogła zacząć wypłacać swym profesorom lepsze pensje zamiast więcej niż skromnego wynagrodzenia, na które ją stać było dawniej. Mógł więc oddać się całkowicie pracy naukowej, tym bardziej że niedługo przedtem został po śmierci prof. Myślińskiego wybrany na profesora zwyczajnego Wszechnicy, gdzie aż dotąd wykładał jako docent. Pamiętam, że w 1935/36 r. nosił się z zamiarem uzupełnienia i wydania zbioru swych rozpraw z dziejów filozofii w Polsce. Ale zdrowie nie dopisywało, czuł się coraz więcej zmęczony i jednocześnie coraz jawniej przygnębiony przez atmosferę nienawiści rasowej, która coraz jawniej dawała się we znaki na wyższych uczelniach. Obowiązujący ten pesymizm był coraz mocniej podsyćany przez wzorującą się na faszystwie politykę rządową.

Tymczasem starsza córka, panna Jadwiga, skończyła swe studia prawnicze i dzięki wybitnym zdolnościom i pracowitości prędko zdobyła uznanie w kołach prawników jak obiecujący adwokat i prelegent radiowy na tematy prawnicze. Sytuacja finansowa rodziny z każdym rokiem się poprawiała. W r. 1938 Zieleniecykowie przenieśli się ze skromnego mieszkania przy Poznańskiej do dużego mieszkania przy Koszykowej. Z dumą pokazywał mi pan Adam gabinet panny mecenasa i własny gabinet, który „urządziła mi córka z swych zarobków”. Przedtem pan Adam miał tylko kąp w sypialni i nigdy nie pomyślałby sam, żeby z swych powiększonych zarobków wydać większą sumę na własne potrzeby. Był on szczęśliwy na nowym miejscu, gdyż czuł się wyzwolony z ciągłej troski. Średnia córka również już kończyła studia na uniwersytecie (studiowała socjologię) i prawie jednocześnie ze starszą siostrą wyszła za mąż.

Ale było już za późno. Czuł się stary i słaby. Żona i córki namawiały go do zrezygnowania (pierwszy raz po wielu latach!) z wakacyjnego kursu nauczycielskiego i spędzenia całego lata w dobrej miejscowości kuracyjnej. Nie posłuchał ich, gdyż wykłady na kursie stały się jego przyzwyczajeniem i obcowanie z nauczycielstwem podtrzymywało go na duchu. Zdaje się, że latem 1939 r. po kursie wybrał się nareszcie na kurację. Ale wybuchła wojna.

Od początku wojny był bardzo pesymistycznie nastrojony. Często mówił, że wojny nie przeżyje. W r. 1940, kiedy rozpoczęło się tajne nauczanie, zaczął i pan Adam pracować w tajnych kompletach Wszechnicy. Namawiałem go, by przeniósł się ze swego mieszkania gdzie indziej, by wyjechał choćby na wieś. Nie chciał. Ogarnął go jakiś bezwład i fatalizm,

nie czuł się na siłach zamieszkać oddzielnie od rodziny, a nie widział możliwości urzędzenia się wszystkich na nowym miejscu. W latach 1940 i 1941 mieszkał z żoną, starszą córką i jej mężem, który zmarł tragicznie w r. 1941. Obydwie młodsze córki wyjechały do Lwowa na studia uniwersyteckie. Wróciły po zajęciu Lwowa przez Niemców. Pani Marysia miała synka, a drugie dziecko urodziło się już w Warszawie. Mąż jej jako poszukiwany przez policję niemiecką wyjechał do Rosji. Wnuczęta były jedyną radością pana Adama w tych ciężkich czasach. Radością, ale i powodem nowej, straszliwej, przygniatającej troski. Zwierzył mi się z tym w początku 1943 r. Powiedział, że już od kilku miesięcy stał się przedmiotem ciągłego szantażu ze strony dwóch opryszków, byłych agentów polskiej sanacyjnej, którzy przeszli na służbę niemiecką. „Przychodzą od czasu do czasu i zabierają wszystko, co się im podoba. Nie mogę przecież im odmówić. Obiecują, że nie wydadzą. Ale czy można im wierzyć? Jesteśmy wszyscy skazani”. Z wielkim trudem namówiłem pana Adama do wyjazdu na wieś, na wykłady w Siedleckiem, gdzie grupa studentów Wszechnicy organizowała „komplet” tajnego nauczania. Pojechał tam; pierwszy raz podczas wojny wyjechał z Warszawy. Prawie miesiąc spędził na wsi w doskonałych warunkach, ale — mimo próśb gospodarzy, aby został dłużej — wrócił do rodziny. Zwycięstwo pod Stalingradem i rozpoczęta potem ofensywa rosyjska podniosły go bardzo na duchu. Zimą i latem 1942/43 r. mieszkałem na wsi i widywałem go tylko podczas swych rzadkich przyjazdów do Warszawy. Błagałem go, by wyjechał z Warszawy, gdzie sytuacja stawała się coraz groźniejsza. Opowiadał, że nie ma sił do tego, że wszystko jedno, gdzie umrze. Po powrocie swym ze wsi do Warszawy w lipcu 1943 r. odwiedziłem go ostatni raz. Mieszkał ze starszą i młodszą córką. Pani Marysia z dziećmi i matką były jeszcze na lotnisku pod Warszawą. Wydało mi się, że był w lepszym nastroju i fizycznie wyglądał lepiej niż na początku lata. Opowiadał mi o swych kompletach. Miał ich kilka w tygodniu. Był już pewny zwycięstwa Rosji i aliantów i spodziewał się doczekać klęski hitleryzmu. Ale nie doczekał. W kilka dni później uprzedzono mnie o aresztowaniu jego i rodziny oraz o zasadzce w jego mieszkaniu. Aresztowana została i jego żona, która przyjechała tego dnia ze wsi do Warszawy. Wszyscy zostali zamordowani. Ocalała tylko pani Marysia z dziećmi. Później dowiedziałem się, że bezpośrednim powodem akcji gestapowców był nie donos szantażystów, lecz wyspa w organizacji podziemnej, do której należała najmłodsza jego córka, panna Wanda.

Sergiusz Hessen

ARTUR ŻAGAN

(1901 — 1945)

Urodzony w Wielkich Górkach na Śląsku Cieszyńskim, w r. 1901, szkołę średnią ukończył w Cieszynie, Wydział Filozoficzny Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie w r. 1926. Od r. 1927 pełnił obowiązki nauczycielskie w gimnazjum w Rybniku, potem w Chorzowie. W r. 1933 przeniesiony został do Bogumina na stanowisko zastępcy dyrektora państw. gimnazjum z językiem wykładowym niemieckim. Z dniem 1 września 1939 r. przeniesiony został do Katowic, gdzie miał pełnić obowiązki kierownika ogniska metodycznego historii. Obowiązków tych jednak nie objął, gdyż zawierucha wojenna rzuciła go do Krakowa, gdzie spędził cały okres wojny i okupacji.

Przez cały ten czas był jednym z najczynniejszych pracowników Polki podziemnej. Tak jako wykładowca na licznych tajnych kompletach, jak i to przede wszystkim, jako członek śląskiego Biura Szkolnego. W tym charakterze był łącznikiem między kierownictwem Biura w Warszawie, a współpracownikami krakowskimi. Pośredniczył w utrzymywaniu kontaktów ze Śląskiem tak przez sprowadzanie stamtąd potrzebnych książek, jak i przez wysyłanie na Śląsk wszelkiego rodzaju materiałów. Mieszkanie jego było stałym miejscem spotkań i konferencji. Ostatnio szczególnie mocno zajął się sprawą przygotowania przejęcia przez polską administrację szkolnictwa na Opolszczyźnie, przygotowując się sam do tego bardzo starannie. Rozległa jego praca organizacyjna w konspiracji spowodowała, że znało go bardzo wielu ludzi. I to stało się przyczyną jego aresztowania w dniu 15 listopada 1944 r. Więziony przez miesiąc w więzieniu na Montélupich w Krakowie, wywieziony następnie do obozu koncentracyjnego w Gross Rosen, a stamtąd w pierwszych dniach lutego 1945 r. w toku ewakuacji obozu, w niewiadomym kierunku. W dniu 1 marca 1945 r. widziano go w obozie w Dora koło Nardhausen. W dniu 6 marca w obozie tym zginął.

Przez cały czas swego pobytu w obozie nigdy nie przestawał wierzyć, że będzie mu dane pracować nad odbudową polskiego szkolnictwa. O tych sprawach ciągle myślał, często o nich rozmawiał. Los chciał inaczej. Nie wrócił do swoich, choć tak bardzo za nimi tęsknił, nie wrócił do ukochanej pracy pedagogicznej, do której przygotowywał się przez cały czas wojenny z pełnym poczuciem odpowiedzialności, jaka naród polski czeka w nowych warunkach, w których nastanie wierzył jak najmocniej.

Kazimierz Popiołek

WŁADYSŁAW ŻŁOBICKI

(1880 — 1942)

Pierwsza wojna światowa chyliła się ku końcowi. Pękła we wszystkich spojeniach okupacyjna skorupa; przez jej szczeliny prześwitywała już zorza nowego polskiego bytu. Na całej przestrzeni tego bytu odprężyły się gwałtownie sprężone przez niewolę siły narodu. W jednej dziedzinie słabiej, w innej mocniej. Najmocniej bodaj w izbie szkolnej, bo tu najwcześniej dało się uchylić drzwi, wpuścić nieco powietrza i słońca. Zwłaszcza w okupacji austriackiej. Do Lublina zjechała ze Lwowa garść ludzi dobrej woli, ludzi czynu. Wśród nich przybył człowiek, któremu, jeśli nie formalnie, to faktycznie przypadło w udziale stanąć na czele tego pierwszego w dziejach Polski, wspaniałego ruchu wskrzeszania przez szkołę ludu polskiego z jego wiekowej martwoty, ciemnoty i niemocy.

Twarde, niezamożne dzieciństwo w zapadłej wschodnio-galicyskiej wiosce, oddalonej od najbliższej szkoły o 9 kilometrów, które chłopczyca od pierwszego oddziału przebywa co dzień pieszo tam i z powrotem. Gimnazjum w Tarnopolu, studia wyższe, fizyko-matematyczne, we Lwowie, w latach 1899 — 1904. Na razie perspektywy drogi naukowej, asystentura u prof. Zakrzewskiego, niebawem wszakże głównym terenem jego pracy staje się szkoła. Już po pięciu latach pracy nauczycielskiej w Krakowie zostaje dyrektorem żeńskiego seminarium nauczycielskiego w Krakowie, skąd w r. 1911 przechodzi do Rady Szkolnej Krajowej we Lwowie. Zadaniem jego ma być w przyszłości reorganizacja szkół realnych. Dla lepszego zapoznania się z ich bytem powierza mu Rada kierownictwo Szkoły Realnej we Lwowie; na rok 1914 przewidziana jest podróż do zachodnio-europejskich środowisk szkolnych, celem zbadania tego zagadnienia na szerszym międzynarodowym tle. Projekty te pokrzyżował wybuch wojny.

W końcu lipca 1916 r. przybył Żłobicki do Lublina wezwany przez władze okupacyjne austriackie do objęcia posterunku w administracji szkolnej. Wypadło budować prawie od podstaw, jak na pustyni, choć przez ten kraj, prócz stuletniej carskiej niewoli, przeszedł od brzegu do brzegu kataklyzm wojny światowej. Wypadło działać w obcym okupacyjnym uni-formie, który mroził każde zetknięcie ze społeczeństwem, paraliżował każdą swobodniejszą myśl, zniechęcał inicjatywę.

A jednak już po paru tygodniach pracy ma Żłobicki do zanotowania sukcesy. W liście do żony z końca sierpnia 1916 r. pisze znamienne, tak charakterystyczne dla całej jego późniejszej działalności słowa: „Wiesz, że zawsze wierzył w pewną dozę głupiego szczęścia, jakie towarzyszyło zwykłe mej pracy. Z tą myślą tu siedłem. Towarzyszy też to powodzenie

mnie i dotąd. Np. przez dzień wczorajszy i dzisiejszy udało mi się zrobić dużo dobrego dla szkół w Chełmie, a zdawało się już, że nie będzie tam mogła być puszczona w ruch żadna szkoła". A parę wierszy dalej: „Moja misja do Sandomierza również doskonale się udała i załagodziła bardzo naprężone drażliwości". Owo „głupie szczęście", które w istocie swej było nie czym innym, jak niepospolitym taktem i osobistym czarem tego człowieka i które z całą potęgą rozbłyśnie w następnym okresie jego działalności, występuje już tutaj w postaci tak zdrowego, krzepiącego optymizmu. Do nuty tej powraca w swych listach kilkakrotnie.

„Ciągłe wierzę i widzę — pisze w październiku 1916 r. — że mam więcej szczęścia niż rozumu, co mi zresztą nic nie szkodzi i przyjemności z wyników pracy nie psuje..." „Często przypatruję się krytycznie sobie samemu i zawsze dostrzegam, że mam szczęście do ludzi, tj. do ich nadania sobie i to poczynając od małych dzieci szkolnych, a kończąc prawie na chłodnym Madeyskim. W czym leży ta jakaś moja sztuka, jeszcze nie wiem. Bardzo mnie zaś ucieszyło, gdym spostrzegł, że umiem sobie małe dzieci pozyskiwać, czego dawniej stanowczo nie było. Raczej przeciwnie".

Okupacyjne lody tajały w zetknięciu z owym „głupim szczęściem" niezmiernie szybko. Oto opis konferencji nauczycielskiej odbytej w Dąbrowie Górniczej w początkach października 1916 r. „Na drugi dzień rozpoczęła się owa konferencja nauczycielska w obecności miejscowego dziekana, komendanta, starosty Rozwadowskiego i trzech inspektorów okręgowych... Przed konferencją wszedłem do jaskini lwa, tj. między zebrane nauczycielstwo, przywitałem się z każdym i z każdą z osobą itd. Oczywiście nie spodziewali się tego, przywitali mnie z minami wilków i przypatrywali się spode łba tej jakiejś nowej a paskudnej bestii. Zły jak pies, otworzyłem konferencję dłuższym a wściekle siarczystym, polskim przemówieniem. Dziekan miał mnie zdziwioną, nauczycielstwo było zaskoczone. Rozwadowski zacierał z radości ręce, a pułkownik nie rozumiejący nic po polsku podziwiał dźwięk mego głosu... Gdy go zaś Rozwadowski zapewnił, że i treść przemówienia była równie piękna, był bardzo mną rad. Nie wiem, czy miał powód. Już do południa lody między mną a nauczycielstwem stopiłem doszczętnie, jak przystało na profesora fizyki. Poczęli się do mnie zwracać, otaczali mnie tłumem, wypytywali o różne sprawy, odprowadzali do mojej kwatery itd. ...Po południu zaś podbiłem ich już zupełnie, co zresztą przychodziło mi teraz z każdą chwilą łatwiej. Trudno mi pisać o szczegółach, byłem jednak z prowadzenia konferencji bardzo, ale to bardzo zadowolony, osiągnąłem niezmiernie ważne rezultaty w różnych piekących i naglących sprawach i mogłem powrócić do Lublina prawie jako triumfator. Jak zaś oni się ze mną żegnali!"

Jak swobodnie i prosto, a żywo i z poczuciem humoru brał Żłobicki szturmem nauczycielskie serca, świadczy scena, jaka rozegrała się na innym podobnym posiedzeniu nauczycielskim. Żłobicki był autorem bardzo cenionego i szeroko rozpowszechnionego podręcznika fizyki. Zebranie widziało go po raz pierwszy, znało tylko ze stanowiska urzędowego; nazwisko inspektora było mu nieznane. Jest mowa o podręcznikach, jedna z nauczycielek, niejaka K., zaczyna zachwalać podręcznik Żłobickiego. „Widząc, że K. nie ma najmniejszego pojęcia, że Żłobicki jest moim dobrym znajomym — pisze autor podręcznika — zaczynam jej zwolna, a później coraz mocniej kontrować. Myślałem, że pękne, gdym widział, jak się habina zaperzyła i bronila mojej własnej książki. Dopiero na następnej pauzie wyszło na jaw, że autorem potępianej przeze mnie książki jestem ja sam".

Wielką radością tełnią listy jego z tych czasów. „Doprawdy przy mojej pracy obecnej dusza znacznie częściej radością mi dźwięczy, niż ma powód do smutku". „Dokourane dzieło — pisze w innym liście po otwarciu gimnazjum w Puławach — raduje mnie niewymownie, zwłaszcza że się tak cudnie udało. Napływ uczniów jest tak wielki, że można niestety było przyjąć zaledwie trzecią część. Przeważają chłopkie dzieci — rzecz szczególnie sympatyczna! Niektórzy uczniowie chodzą do szkoły z wiosek odległych o osiem kilometrów. Jeden uczeń zapytany przeze mnie, czy daleko mieszka, odpowiedział z pośpiechem: „Nie! Ja mam tylko cztery wiorsty". Przypomniały mi się moje uczniowskie czasy i chodzenie z Białej do Tarnopola". W Nałęczowie byłem w szkole ludowej tak sympatycznej i milej, że żał było z niej wychodzić. Uczy się w niej systemem mniej więcej z XVI stulecia, ale mimo to rezultaty są bajeczne".

Od otwarcia gimnazjum w Puławach minął rok. Żłobicki wizytuje je ponownie. „Z całym zadowoleniem! Szkoła udała się wybornie. Między stanem i wyglądem chłopaków, których widziałem przy otwarciu szkoły, a tymi samymi chłopakami dzisiaj zachodzi już kolosalna różnica. Znikanie cudzych przedmiotów, kłamstwo i inne wady rozpowszechnione po innych szkołach są jeszcze na tym odludziu czymś zgoła nieznanym".

Pełno tych okrucich radości we wszystkich jego listach. Pogoda, smiech życiowy, zdolność do entuzjasmowania się tym, co entuzjazmu warte, była niewątpliwie dominantą tej duszy, a jednocześnie największą jej siłą.

Druga relacja puławska kończy się wzmianką, która otwiera nowy rozdział w życiu Żłobickiego. „W Puławach dn. 15.II.1917 r. wsiałem do pociągu, którym wedle umowy jechał Madeyski do Warszawy. W War-

szawie mieliśmy kilka Konferencyj w Tymczasowej Radzie Stanu, po czym ja osobno jeszcze konferowałem długo z kierownikiem Departamentu Oświaty, wicemarszałkiem Mikułowskim-Pomorskim. Rozczarowałem się trochę tym, jak nie bardzo wiele wiedzą tam oni o tym, co się istotnie dzieje tu w szkolnictwie. Ale może to nie może być inaczej. Zresztą osobiste wrażenie z Pomorskiego jest takie, że jest to człowiek światły, pewny i sympatyczny”.

Pierwsze to kontakty z Warszawą, z instytucją, której miał niebawem poświęcić wszystkie swe siły, całą moc swego, nie starzejącego się mimo lat, zapala. Na razie są to wciąż jeszcze tylko pertraktacje, które, jak wiadomo, przeciągną się do głębokiej jesieni. „O oddaniu szkolnictwa Radzie Stanu nie pisałem Ci, gdyż jeszcze w tej sprawie nie ma nic definitywnie postanowionego” (list jest datowany z dn. 31 marca 1917 r.). Wiadomości dziennikarskie były przedwczesne... Dotąd pertraktacje te wydały całkiem małe rezultaty.

Dopiero w pół roku później przybrały te sprawy inny obrót. „Przeżywam obecnie bardzo gorące czasy — pisze Żłobicki dn. 27 września — „otrzymałem dziś list Pomorskiego, w którym ofiaruje mi stanowisko inspektora (krajowego) w Warszawie. O ile bym się zgodził, mam mu donieść. Wówczas wpłynę do Gubernatorstwa urzędowe pismo Rady Stanu z prośbą o zwolnienie mnie z tutejszej służby. Odpisałem już, że się zgadzam. Gdybyś Ty mi odradzała, albo i bez tego, mógłbym oczywiście po nadejściu urzędowego pisma ofiarowanej mi posady nie przyjąć”.

„Prawdopodobnie w najbliższej przyszłości będę miał do wyboru między inspekturą galicyjską i warszawską. Ideowo oraz co do zakresu i rodzaju pracy inspektura galicyjska z warszawską nawet równać się nie może. Dogadzałoby to także mojej próżności, że mimo mego okupantwa nie wylano mnie stąd. Pieniężnie będzie pewno lepiej niż w Galicji. Z drugiej strony praca galicyjska byłaby w porównaniu z robotą czekającą mnie w Warszawie po prostu wypoczynkiem. Tam trzeba by było nerwy i siły mocno nadtargać i pracować w chaosie, z którego ma się dopiero wyłonić przyszła szkoła polska. Nie ma dotąd nic; ani planów, ani podręczników, ani profesorów, ani szkół. To wszystko trzeba będzie dopiero zrobić. Praca cudna jak marzenie. W razie nieudania się jej jednak — zmarnowane życie...” „List Pomorskiego jest trzymany w tonie już nie ciepłym, ale wprost gorącym. Piszę, że mię tam przyjmą z otwartymi ramionami”.

Szły gorączkowe jesienne dni 1917 roku. 3 października pisze Żłobicki: „Jutro ma być w Warszawie zatwierdzona Rada Regencyjna — wobec tego dostaliśmy rozkaz, że przed jutrem muszą być wydrukowane wszystkie ustawy o oddaniu szkolnictwa, chociażby całe nasze biuro miało pracować przez całą nawet noc. Możesz sobie wyobrazić, jaki u nas ruch.

„Dziś Madeyski przysłał do naszego biura wiadomość, że zażądano z Warszawy mnie na inspektora. Aktu żadnego nie widziałem jeszcze. Wiadomość wywarła kolosalne wrażenie. Odpowiedzi żadnej naturalnie jeszcze nie dałem, bo nikt mnie jeszcze urzędownie o to nie pytał. Sprawa odnośnie mojej osoby nie jest już tajemnicą, możesz ją więc powiedzieć, komu zechcesz”.

Niedługo trwała „krajowa inspektura”. Zaledwie parę miesięcy. „...Wczoraj po południu — pisze Żłobicki 24 stycznia 1918 r. — zapadła decyzja zrobienia mnie tzw. „naczelnym inspektorem krajowym”. Decyzję tę zakomunikował mi Gąsiorowski w imieniu ministra. Z ministrem jeszcze nie mówiłem. Naturalnie nie rozumiesz, co to znaczy. Otóż inspektorów krajowych (dla szkół elementarnych) ma być prócz mnie w najbliższej przyszłości sześciu. Inspektor naczelny byłby ich „przełożonym”, aprobowałby ich „kawalki”, podpisywałby na zewnątrz akty i w ogóle byłby głową tzw. wydziału inspekcji. W rangach tutejszych, które się już tu skryształizowały, stałby od inspektorów krajowych o jeden stopień wyżej. Nad sobą miałby tylko szefa sekcji (Gąsiorowskiego) i ministra.

„Moja Malutka! Cóż Ci mam więcej pisać. Jestem wskutek tej propozycji, a raczej podania do mojej wiadomości gotowego faktu, bardzo niešťeśliwy. Nikt by mi nie wierzył. Ty jedna znasz mnie zapewne na tyle, iż wiesz, jak lubię pracować w ukryciu i jak bardzo obce mi są ambicji. Na nowe stanowisko nie nadaję się, a po jego objęciu wiem, że byłbym bardzo biedny. Cieszyłbym się z tego tylko wtedy, gdybym był głupszy, niż faktycznie jestem — albo gdybym był znacznie mądrzejszy. Zareagowałem też na zakomunikowaną mi przez Gąsiorowskiego wiadomość tak, jak chyba bardzo mało urzędników na świecie byłoby skłonnych reagować, tj. oświadczyłem, że mam lepsze załatwienie sprawy, niż to, jakie on mi podał. Wymieniłem więc Reitera, lecz niestety spotkałem się z odmową. Proponowałem dalej ks. Gralewskiego (pedagoga, znanego Ci zapewne z nazwiska). Gralewski przyjdzie tu lada dzień na krajowego inspektora. Spotkałem się jedna z jeszcze bardziej stanowczą odmową. Wreszcie zaproponowałem zamiechanie myśli tworzenia stanowiska „naczelnego inspektora”, aby umożliwić nam wszystkim pracę na stanowiskach równorzędnych. Tę myśl Gąsiorowski odrzucił również od siebie, ale miał ją jeszcze zaproponować ministrowi ode mnie. Mimo to sprawa wydaje się przesądzona i prawdopodobnie nie będzie możliwości uniknięcia „zaszczytu”, który jest dla mnie tak strasznym ciężarem, jak może nie byłby dla nikogo innego. Pocięcha taka, że ilość podróży inspektor-skich dla naczelnego inspektora byłaby z pewnością ze trzy razy mniejsza, niż dla inspektora krajowego, jest pocięchą niskiego rodzaju, a w dodatku praca całkowita będzie znacznie większa. „Moja Jadwiś! Tak mi

Cię tu brak! Może by mi było inaczej, gdybym mógł z Tobą porozmawiać na temat, który Ci tu opisałem”.

Korespondencja pp. Złobickich chyli się ku końcowi. W miesiąc później wysłała p. Władysław obszerny list w sprawie przeprowadzki rodziny ze Lwowa do Warszawy. „Z listu Twego widzę — pisze — że nie myślisz o tym wcale, aby w ogóle zrezygnować z wyjazdu do Warszawy. Cieszę się z tego bardzo, gdyż rola samotnika już strasznie dała mi się we znaki. Nawet w pracy nie mogę znaleźć uspokojenia, gdyż często, np. wieczorem, właśnie na skutek mojej samotności nie jestem w ogóle zdolny do pracy i uciekam do Łopuszańskiego, o ile on całkiem z tych samych powodów nie poszuka już poprzednio ucieczki u mnie. Widzę, że wahasz się tylko, czy wyjechać z meblami, czy bez. I jeden, i drugi sposób ma swoje zalety i wady. Trafniejsze rozstrzygnięcie nie da się przewidzieć — to rzecz chyba instynktu i przyszłych wypadków”.

„W każdym razie wypadki polityczne tak już jakoś się ułożyły, iż wydaje się, że mojemu stałemu pobytowi tutaj chyba nie stanie na przeszkodzie. Zapewne, że mogą jeszcze przyjść jakie zdarzenia, o których teraz nie mamy pojęcia, ale daleko prawdopodobniejsze jest, że się już z Warszawy nie ruszę. Za dużo byłoby pisać o tym, na czym to prawdopodobieństwo opieram, w każdym razie wierz mi, że rozważyłem wszystkie znane mi fakty z największą rozwagą”. Dalszy ciąg listu wypełniony jest projektami mieszkaniowymi na terenie Warszawy, pod koniec zaś spotykamy znów ustęp rzucający nieco światła na jego warsztat pracy oraz na ustosunkowanie się jego do tej pracy.

„Dziwisz się, że tak bardzo i tak długo broniłem się przed objęciem naczelnej inspekcji, zwłaszcza, że — jak piszesz — sam wybrałem sobie szkolnictwo elementarne za teren pracy. Otóż chciałem być krajowym inspektorem, gdyż byłem pewny, że potrafię to dobrze robić. Natomiast inspekcja naczelna jest czymś zgoła od krajowej odmiennym. Trudno Ci to wytłumaczyć, gdyż w Galicji nie ma niczego analogicznego. Praca moja obecna nie jest zupełnie podobna do poprzedniej pracy w Warszawie. Stanowisko to jest po prostu wysokim dygnitarstwem, toteż dźwigam je jak brzemie — co prawda szybko, na szczęście, do tego brzemienia przywykając. Umieszczono mię tu w ładnym pokoju, umeblowano dostatecznie (mam biurko amerykańskie jak marzenie), ale też dano zakres roboty i odpowiedzialności kolosalny. Mam dwóch moich sekretarzy osobistych i jedną sekretarkę. Co dnia przez trzy godziny przyjmuję bez przerwy strony, prawie godzinę trwa samo podpisywanie aktów, pracuję wieczorem i w nocy, a podolać nie mogę. W biurze siedzę od 8 rano do 4 po południu bez 5 nawet minut przerwy. Sama robota poważniejsza niż śmielsze moje marzenia i nie byłoby chyba szczęśliwszego pod tym wzglę-

dem na świecie człowieka, gdyby to już było po wojnie i gdyby znikła troska niepewności jutra i rozłąki z Wami. Stosunki ze współpracownikami mam idealne”.

„...Jeszcze tylko słóweczko o naszym ministrze Ponikowskim. Co to za człowiek! Skąd się tacy ludzie biorą na świecie? Człowiek szczery, żywy, prosty i gorący. O dwa tylko lata starszy ode mnie. Inteligentny, zdrowy, nawet fizycznie piękny. A taki strasznie odmienny od wszelkich galicyjskich przełożonych. Jak zapewne wiesz, jest on teraz premierem przewodzącego gabinetu. Oby tylko pozostał jak najdłużej”.

I jeszcze jeden, ostatni list z tego okresu, list Złobickiego. Dowiadujemy się z niego, jak ciężkie groziły mu w tym czasie komplikacje życiowe. Były to czasy, kiedy Austria, bliska już rozkładowi i pogromu, mobilizowała ostatnie swe rezerwy ludzkie. Wygrzebywano z biur i zakamarków służbowych wszystko, co miało jaką taką fizyczną prezencję. Powołano do Piotrkowa na superrewizję i Złobickiego. Sam on nie ma wielkich złudzeń i nie ma odwagi napisać o tym do żony. Czyni to dopiero post factum, gdy ku własnemu zresztą zdziwieniu uznany został za zdolnego tylko „zum Kanzleidienste”. „Możesz mi wierzyć — pisze p. Władysław — że nie za siebie, lecz za Ciebie odetchnąłem”. „Kończę już i walę do roboty. Tej jest za dużo, grubo za dużo, zwłaszcza dla człowieka, który jest tylko „zum Kanzleidienste tauglich”.

Taki jest Złobicki w swoich listach. Mówią one same tak wiele, że trudno tu jest choć słowo dorzucić. Niestety braknie nam ich nadal. Pani Złobicka przyjechała niebawem z córką do Warszawy, skończyła się rozłąka dzieląca to małżeństwo, skończyły się pisane pomocą przez obie strony codziennie listy. A były to wszakże dopiero początki jego działalności — młodość — niepełne czterdzieści lat.

„Kończę już i walę do roboty”.

Roboty tej otwierało się teraz przed Złobickim nieprzebrane morze. Były to wszakże pierwsze dopiero miesiące prac organizacyjnych Ministerstwa, kiedy twórcom szkolnictwa polskiego waliły się na głowy jednocześnie wszystkie najwęższe problemy szkolne, tym trudniejsze do rozwiązania, że na razie brakło literalnie wszystkiego: norm ustawodawczych, elementarnego aparatu administracyjnego, ludzi, środków, czasem wręcz mebli i sprzętu biurowego. „Nie ma dotąd nic: ani planów, ani podręczników, ani profesorów, ani szkół”.

Szkolnictwo średnie ogólnokształcące było w nieco lepszej sytuacji: miało za sobą pewne organizacyjne początki wyrosłe na gruncie dziesięciolecia prywatnego szkolnictwa polskiego. W szkolnictwie powszechnym,

już przez same swe rozmiary trudniejszym do opanowania, istniał ciałem, a raczej gorsza jeszcze od niego próżnia, którą za wszelką cenę należało usunąć.

W tym stanie rzeczy najważniejszym bodaj problemem stawał się dobór ludzi. Od wytworzenia w możliwie krótkim czasie zgranego, stojącego na wysokości zadania kierowniczego zespołu zależało wszystko. Warunki nie układały się łatwo na tym terenie. Z dwóch, krańcowo różnych źródeł rekrutował się ówczesny personel Ministerstwa. Z jednej strony warszawskie środowisko nauczycielskie, z drugiej Rada Szkolna Krajowa we Lwowie. Lokalny warszawski obóz fermentował silnie. Miał wszelkie cechy obozu młodego, reprezentował duże wartości ideowe, silny, mocno radykalizmem zaharwiony rozmach reformatorski, inicjatywę, wysoki poziom intelektualny, ale z drugiej strony zdradzał brak krytycyzmu, trzeźwości sądu, wyrobienia organizacyjnego, horyzontu, zamkniętego z reguły w ramach jednego zakładu naukowego. Drugi obóz był kompletnym odwróceniem, antytezą pierwszego. Doskonała znajomość rzeczy w najdrobniejszych, a jakże ważnych szczegółach codziennego rzemiosła administracji szkolnej, wyrobiona, utarta od dziesiątków lat, przerosnięta czasem rutynizmem praktyka, szeroki, wykraczający poza ramy jednej szkoły horyzont organizacyjny, doświadczenie zawodowe i życiowe, trzeźwość i wytrawność sądu i płynące stąd większe, niekiedy zbyt wielkie umiarkowanie i spokój tego sądu.

W oczach pierwszych drudzy byli gronem zaśniedziałych konserwatywistów i biurokratów; w oczach drugich — pierwsi — grupą niedowarzonych zapaleńców, marzycieli, fantastów. Należy przy tym pamiętać, że są to pierwsze lata współżycia pod jednym, na razie okupacyjnym, potem już polskim dachem, lata, kiedy niedorzeczne antagonizmy dzielnicowe szalały z całą ostrością i napięciem niespotykanym ani przedtem, ani potem. Pierwszy z naszych obozów był stuprocentowo „królewiacki”, drugi składał się również w stu procentach z „galileuszów”. Dodajmy do tego, niuchronne w każdym większym zbiorowisku ludzkim, konflikty na tle zadrażnionej ambicji osobistej, zawiedzionych nadziei, rywalizacji, zazdrości i innych małostek, a wówczas nie trudno nam będzie zdać sobie sprawę z tego, że nie brakowało warunków, by z Ministerstwa owych czasów zrobić gniazdo os czy szerszeni, które nie ruszy z miejsca, nie będzie zdolne do jakiegokolwiek pracy zespołowej.

Wiemy, że tak nie było. Kto pamięta te czasy improwizacji, kręcenia biczków z piasku, realizacji rzeczy zdawałoby się zupełnie nierealnych, ten wie, że rezultaty te przypisać należy wspaniałemu, zgodnemu duchowi, który ożywił ten zespół entuzjastów. Trudno inaczej nazwać grono ludzi, których dziełem był ów pierwszy, naprawdę misyjny, kapłański zryw

pracy nad szkołą polską. Przeobrażenia tego nie dokonał jeden człowiek. Ów duch nie mógł w ogóle być dziełem jednego człowieka. Złożyły się nań głębokie pokłady ideaowości po obu stronach linii granicznej. One to w lwiej części sprawiły ten cud.

Niemniej jednak istniały na dnie tego cudu liczne rafy i skały podwodne, istniały materiały palne czy wybuchowe. Szczególnie wiele było ich w szkolnictwie powszechnym, jako w najszerszym, najbliższym niżin społecznych i ich konfliktów zagadnieniu szkolnym. Wszystkie świadectwa ludzi, którzy patrzyli na pracę Żłobickiego, są zgodne w poglądzie, że jego organizacyjne i mediatorskie zdolności odegrały przy tym usuwaniu raf i skał pierwszorzędą, jeśli nie decydującą, rolę. Materiałów palnych nie usuwał, ale je umiejętnie wyładowywał w twórczym, a nie rozkładowym kierunku. Przeciwnością kojarzył, tak że zamiast przeciwstawiać się sobie, uzupełniały się wzajemnie. Spory między młodszym a starszym światopoglądem, między tą a inną tezą prowadziły w jego rękach nie do eksplozji, do rozbicia pracy szkolnej, ale do jej pogłębienia i jeszcze większego wzmocnienia tempa i wydajności.

Łączył w sobie najwyższe wartości obu obozów, był więc dla obu autorytetem. Resztę robiło jego „głupie szczęście”, niepokonany czar jego obcowania z ludźmi. Porywał przykładem, swą furją pracy, swą prostotą i dobrocią, swą ewangeliczną niemal skromnością. Środki jego oddziaływania były proste jak i on sam. Negacja patosu, ostentacji, formy zewnętrznej. Wyprany chemicznie ze snobizmu szukał we wszystkim wszędzie treści, nie formy. Przy całym ogromie pracy, która po prostu rozsadzała jego dobę, miał ten człowiek zawsze czas na każdą nową, zdrową inicjatywę, witał ją radośnie, nie uchylał się od współpracy i zawsze, choćby kosztem dodatkowego wysiłku, umiał stworzyć inicjatywie takiej dalsze warunki rozwoju.

Miał czas przede wszystkim tam, gdzie chodziło o niedolę czy zła — szcza o krzywdę ludzką. Pamiętał o nędzy nauczycielskiej i w miarę sił i możliwości starał się z nią walczyć, co z żywą wdzięcznością podkreślił w swym pożegnalnym adresie Związek Nauczycielstwa Polskiego. Pamiętał o najdrobniejszych kłopotach swoich bezpośrednich podwładnych, o maszynistkach, woźnych, gońcach. Im niżej, tym goręcej. Wrogów — kóż ich nie ma — traktował znow z bezgraniczną pobłażliwością i wyrozumiałością. „Ludzi — mawiał — przyjmuje się z dobrodziejstwem inwentarza”. Fanałk pracy, zdzierał się w niej i spalał, nie dosypiał, nie korzystał z urlopów. Zainterpelowany kiedyś o to przez ministra Ponikowskiego odpowiedział: „Szereg lat pracowałem wprawdzie w szkole polskiej, ale jednak pod rządami austriackimi. Teraz mam to szczęście, że pracuję przy organizowaniu szkolnictwa dla naszego własnego

go państwa. Panie Ministrze! Będę szczęśliwy, jeśli przez miesiąc mego urlopu będę mógł dalej pracować w naszym ministerstwie, gdzie mi tak dobrze, iż lepiej nigdy nie było i nie będzie”.

*

Dla człowieka tak nieprawdopodobnej skromności dalsze losy jego „kariery” nie stanowią etapu w rozwoju. Zwiększało się z wiekiem tylko brzemie zaszczytów, pracy i odpowiedzialności, on sam, jakim był jako krajowy czy naczelny inspektor, takim pozostał i później jako dyrektor departamentu i jako nie mianowany, ale faktyczny podsekretarz stanu. Nie mianowany, bo się na taką nominację nie chciał zgodzić z obawy, by go to nie oderwało od umiłowanego terenu pracy. Wystarczyło to, że się czuł wodzem szkolnictwa powszechnego, wodzem walki o jego byt, o jego przyszłość i rozkwit.

W tym charakterze wodza wystąpił on w dniu 14 listopada r. 1929 na Zamku Warszawskim wobec prezydenta Rzeczypospolitej i dostojnego, zebranego tam licznie grona słuchaczy z referatem otwierając im oczy na groźne perspektywy rozdzwiku, jaki zarysował się między cyframi wzrostu liczebnego dzieci w wieku szkolnym a cyframi przyrostu izb szkolnych i sił nauczycielskich i żądając dla zapobieżenia mogącej stąd wyniknąć katastrofie maksymalnego ogólnonarodowego wysiłku. Był to bodaj chyba szczytowy punkt pracy publicznej Żłobickiego.

Kazimierz Konarski